

# Marian Filar

---

## "Najtrudniejszy ostatni krok..."

---

Palestra 42/9-10(489-490), 52-54

---

1998

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

# Co piszczy w prawie

Marian Filar

## ■ „Najtrudniejszy ostatni krok...”

Modny przed laty przebój przekonywał nas, iż „najtrudniejszy pierwszy krok”. Akurat! Najtrudniejszy jest krok ostatni. Zwłaszcza jeśli chodzi o tzw. proces legislacyjny. A tak w ogóle, ten kto wymyślił ten nieszczęsny „proces legislacyjny”, smażyć się powinien w piekle bez możliwości warunkowego zwolnienia! Teoretycznie jego celem jest nadanie ostatecznego szlif legislacyjnego oraz, podlanego demokratycznym sosem, imprimatur politycznego projektów aktów legislacyjnych, powstałych (przynajmniej gdy chodzi o akty o podstawowym znaczeniu dla systemu prawnego, jak np. kodeksy), w zacisznych gabinetach fachowców w danej dziedzinie. Teoretycznie projekt taki powinien więc wychodzić z owego legislacyjnego magła gładzi i lepiej niż do niego wszedł. Teoretycznie! Praktyka wygląda bowiem mniej więcej tak: indywidualny specjalista lub wąska ich grupa długo i cierpliwie przygotowuje projekt takiego aktu, pilnie bacząc, by kierowała nim jakaś generalna myśl przewodnia, i by z techniczno-legislacyjnego punktu widzenia „trzymał się on kupy”, a przynajmniej nie był wewnętrznie sprzeczny. No bo „szlachectwo zobowiązuje” i żaden prawdziwy ekspert nie pozwoli sobie na luksus

wypuszczenia buba. Skończyli, odetchnęli. Projekt „idzie w świat”. Na niewinnego młodzianka rzuca się natychmiast gromada parlamentarno-politycznych szakali. To złe, to niedobrze, to sprzeczne z „naszymi wartościami”, a to z naszą wizją polityczną. Tego nie zaakceptują nasi wyborcy, zaś wprowadzenia owego nasi wyborcy się domagają. Wspierają ich różne „inicjatywy oddolne”, tworzone z reguły przez osoby i ugrupowania, które w danej materii nie mają większego pojęcia, za to „wiedzą swoje”. Do tego duetu dołączają często tzw. „eksperci drugiej generacji”, którzy coś wprawdzie o danej materii wiedzą, ale mają na jej uregulowanie diametralnie odrębny pogląd.

Czasem grono to powiększają niekwestionowani „eksperci pierwszej generacji”, którzy wiedzą w danej kwestii dużo, ale w czasie, gdy projekty rodziły się w eksperckich gronach, siedzieli cicho jak mysz pod miotłą, obecnie zaś, z kiepsko ukrywaną satysfakcją, wytykają swym kolegom błędy, których – gdyby wcześniej „dali głos” – można by unikać.

Całe to towarzystwo szarpie świeże ciało młodzianka na sztuki, tak że często gęsto „nagie świecą kości”, a tywa, iż dobiera się także do kości.

W efekcie opuszcza on Wiejską kuśtykając i postępując, często o kulach, a bywa, wyposażony w różnorakie protezy, rodem z całkiem innej parafii.

Powiecie Państwo – przesadam i dramatyzuję!

Wiele można by powiedzieć o projekcie reformy administracyjnej prof. Kuleszy. Można było oczywiście, mając odmienny pogląd na istotę samorządności, być jej zdecydowanym przeciwnikiem. Ale nie można jej było odmówić wewnętrznej konsekwencji i zwartości, przynajmniej w kontekście określonej wizji świata. No bo skoro podział trzystopniowy oparty o ideę decentralizacji uprawnień i obowiązków i samorządową wizję władzy, to czym mniej tzw. regionów, tym lepiej. „Kuleszowska dwunastka” miała szansę na prawdziwie samodzielne funkcjonowanie, bez oglądania się na warszawską „centralę”, by ta łaskawie wsparła subwencją lub dotacją, czyli znanego nam dobrze czapkowania u władzy centralnej. No ale rozległy się głosy „słusznego protestu”. Rozdzwoniły się dzwonki, zabrzączały różniaste łańcuchy, rozświstały gwizdki. No i „wiejska” góra zrodziła mysz! I to o mocno wyliniałym futerku. Owa nieszczęsna finalna szesnastka jest bowiem w istocie niczym innym, niż powrotem do przedgierkowskiej – bierutowsko-gomułkowskiej epoki 17 województw, z których jako tako samodzielną politykę regionalną prowadzić może połowa z nich. Reszta to wytupane lokalnymi ambicjami efemerydy, które o prawdziwej samorządności i samodzielności mogą co najwyżej pomarzyć, a często, jak to ma miejsce w przypadku nieszczęsnego województwa pomorsko-kujawskiego, do którego toruńczycy zaciągnięci zostali na siłę za ucho, w swój kod genetyczny już w momencie poczęcia

wpisany mają wewnętrzny konflikt. No i co zostało z pierwotnej idei, która miała szansę zmienić oblicze Polski na długie lata?!

Nowy kodeks karny kończy właśnie swą „drogę przez mękę”. Kto jednak zaryzykuje stwierdzenie, iż wyjdzie on z Wiejskiej lepszy niż tam trafił? Na szczęście w trakcie prac legislacyjnych przed jego uchwaleniem doznał stosunkowo nielicznych „obrażeń” (np. sławetny przepis § 3 art. 25 rozszerzający niebezpiecznie granice niekaralności w przypadku ekscesów obrony koniecznej). Ale na koniec rozpętał się prawdziwy tajfun. Grupa „posłów-kontestatorów” z AWS złożyła w czerwcu projekt bezterminowego zawieszenia jego wejścia w życie, co praktycznie oznaczałoby zmarnowanie wieloletniego wysiłku legislacyjnego i odesłanie kodeksu „na drzewo”. Nie wyszło? To może zmienimy to lub tamto, jak choćby oną nieszczęsną pornografię. A może wprowadzimy specustawę, coś na kształt niesławnej pamięci „małego kodeksu karnego”, która funkcjonując obok „dużego” kodeksu faktycznie wyłączy jego stosowanie. Biorę do ręki gazetę. Jedni krzyczą: „za łagodny”, „będzie po nim”, „Sodoma z Gomorą”, inni – za surowy, ogranicza prawa obywatelskie. Inni jeszcze straszą, zawiera istotne błędy, które sparaliżują praktykę. Biorą do ręki całkiem poważne czasopismo prawnicze, gdzie całkiem poważna i kompetentna Pani Profesor wymierza siarczyście klapsy swym kolegom-legislatorom wytykając im (czasem zresztą słusznie) pewne błędy techniczno-legislacyjne, bijąc przy tym w dzwon trwogi i ostrzegając przed „spapranym” kodeksem. Gdzie była Pani Profesor, gdy projekt kodeksu powstawał i gdy można było skutecznie

zapobiec takim błędom? I czy na pewno dzwon trwogi jest tu uzasadniony? Nic nie jest w pełni doskonałe, także i nowy kodeks, ale czy są podstawy do podnoszenia takiego larum? Z jaką zresztą intencją. Przedłużenia *vacatio legis*? Toć

to oznacza dalszą mordęgę z pochodzącym z innej epoki k.k. z 1969 r.

Najtrudniejsze są ostatnie kroki. Ale zwłaszcza wtedy nie wolno robić kroków nierozsądnych. Bo to grozi poważnym potknięciem.